

ZNAD JEZIORKI MINIATURY HISTORYCZNE



SZPITAL PÓŁOWY
W SKOLIMOWIE
W 1939 R.

HISTORIE OPowiedziane
HISTORIE WYsłuchane

Wszelkie uwagi, sprostowania i uzupełnienia będą mile widziane

*Dziękuję Grzegorzowi i Piotrowi Krawczyńskim potomkom
Wacława Wysockiego oraz Barbarze Matys-Wysiadeckiej,
Grażynie i Piotrowi Wysiadeckim ze Skolimowa za istotne
uwagi i uzupełnienia*

Wspomnienia Wandy Zemło otrzymał pod koniec lat osiemdziesiątych
XX wieku mój Ojciec od Wacława Stanisława Wysockiego. Duży fragment
tych wspomnień został opublikowany w tygodniku "Stolica" w nr 35 z 1985 r.

Wanda z Wysockich Zemło

SZPITAL POŁOWY W SKOLIMOWIE W 1939 R.

Na około 2 tygodnie przed zdobyciem Warszawy przez Niemców, przez dotąd cichą miejscowość zaczęła przewalać się fala uciekinierów kierujących się na wschód, uciekających przed działaniami wojennymi. Ludzie ci oszaleli ze strachu (większość z nich przeżyła już jakieś bombardowania i ostrzeliwania o których urywkowo mówili, raczej bredząc bez składu i ładu) byli potwornie zmęczeni i spragnieni. Szukali czegoś do picia, a później do jedzenia.

Patrząc na te tłumy snujące się ulicami Skolimowa, samorzutnie zaczęłam przygotowywać wiadra z wodą lub kawą. Następnie z tego co było ugotowaliśmy zupę i podawaliśmy to maszerującym. [Staliśmy] w furtce naszej willi (**Wacławówka - ul. Rycerska róg Oborskiej**). Potrzebujący dziękowali, czasem chcieli coś płacić - ale zaraz zauważali, że my - bo i reszta rodziny pomagała w tej pracy - nie robimy tego dla pieniędzy, więc przepraszali i dziękowali ponownie. Uciekinierów przybywało. Niektórzy zaczęli pokazywać swoje nogi z wszelkimi rankami i oparzeniami. Prosilili o wodę do przemycia, czasem o jakiś kawałek płótna do zawinięcia miejsc obtartych a bardzo bolesnych.

Byłam po kursach Czerwonego Krzyża (ochotniczych), więc bez namysłu wzięłam się do opatrunków. Środki sanitarne pobierałam z domowej apteczki - ale tego starczyło dla kilku opatrywanych. Byłam zrozpaczona! Rannych gromadziło



Fragment "Wacławówki",
2018 r.
Fot. W. Rawski

się coraz więcej, bo opatrzeni podawali dla nich zbawienną wieść innym. Mojej pracy przyglądał się stary felczer emeryt nasz sąsiad ze szpitala św. Łazarza w Warszawie. Wówczas podsunął mi myśl, aby założyć punkt opatrunkowy w naszym domku.

- Pani jest młoda, jest energiczna, jest wojna, jest pani po kursach Czerwonego Krzyża, ja chętnie pomogę. Niech pani działa - organizuje, ja chętnie zajmę się rannymi ale stroną formalną nie zajmę się bo już jestem za stary, a i nie wiem jak to zacząć.

Myśl przypadła mi do gustu i zaczęłam ją zaraz wprowadzać w życie. Zaraz więc wydawanie wody, posiłków itd. pozostawiłem rodzinie, a sama zabrałam się do organizowania szpitala dla rannych żołnierzy i cywilów. Punkt opatrunkowy, jak podał "pan felczer" moim zdaniem nie mógł rozwiązać sprawy, tłumy dyktowały właściwą myśl. Tak zrodziła się myśl szpitala w Skolimowie. Wiedziałam, że opuszczonych willi i pensjonatów było pod dostatkiem. Wybór mój padł na "Corso" pana Borzuchowskiego. "Corso" znajduje się przy ul. Chylickiej i Prusa (budynek o tej nazwie istnieje do dzisiaj¹). Wspomnianą willę wynajmowała wówczas "Rodzina Wojskowa" dla swych członków. W willi urządzono kolonie dla dzieci.

Willa główna posiadała pełne wyposażenie. Miała sypialnie, stołówkę. Narożnik willi (osobny budynek) miał bogatą apteczką przygotowaną dla kolonii, a teraz mógł nam dać początek dla działalności sanitarnej (szpitalnej). Znalazłszy obiekt, który w zarysach mógł przypominać "szpital" udałam się do gminy, aby uzyskać "papierki" czyli zezwolenie. W budynku gminy znajdowali się urzędnicy i policja z komendantem zwanym komisarzem. Wszyscy oni byli już spakowani i czekali tylko na sygnał wyjazdu - czyli ewakuacji.

Jakich użyłam argumentów i prośb, dziś już nie pamiętam. Ostatecznie wójt gminy² i komisarz po długich ceregielach, chcąc mię się pozbyć jak najszybciej, wydali mi upoważnienie z licznymi stempelkami, jakie w tym przypadku były potrzebne na takim dokumencie. Wolno mi więc było, jako "dyrektorowi" nowo powstałego szpitala w Skolimowie w willi "Corso" rekwirować z opuszczonych pensjonatów i willi na użytek szpitala: łóżka, pościel, wiadra, miednice naczynia kuchenne, stołową porcelaną, plater itd. W ten sposób powstający szpital dostawał prawdziwe lokum i wyposażenie.

Wieść o nowym szpitalu w Skolimowie obiegła natychmiast całą okolicę. Odezwał się zaraz miejscowy patriotyzm. Mieszkańcy szczególnie Skolimowa pospieszyli mi z pomocą³. Znane wszystkim mieszkańcom Skolimowa rodziny Paulinków⁴, Pawelskich, Okrasy⁵ i wieś Skolimów przynosiły co kto mógł i to co mogło się nam przydać. Momentalnie więc był transport konny (podwozy). Ludzie prześcigali

¹ Skolimów, ul. Moniuszki 22.

² Wójtem gminy był Zdzisław Karwosiński.

³ Do pomocy w szpitalu zgłosiła się m.in. Barbara Matys ze Skolimowa.

Willa "Corso" przy ul. Moniuszki, 2018 r.
Fot. W. Rawski



Kolonia "Rodziny Wojskowej" w willi "Corso", sierpień 1939 r.



się w pomocy dla Szpitala. Mieszkańcy od najmłodszych do starszych, byli chętni do wszelkich prac i byli bardzo życzliwi.

Ale wybuchła "wojna"... o lekarstwa z apteką⁶. Apteka mieściła się w Konstancinie (istnieje do dziś), wówczas była prywatną i ona nie miała zamiaru wydać bezpłatnie odpowiednich środków dla powstającego szpitala. My zaś nie posiadaliśmy gotówki. Udałam się więc osobiście z "dokumentem" otrzymanym z gminy przeprowadzając odpowiednią rozmowę. Jednak żadne argumenty nic skutkowało. Wówczas wdali się w sprawę klienci, oraz nadeszli właśnie pomocnicy ze szpitala (pomocniczy personel także ochotniczy, ubrany już w kitle z opaskami Czerwonego Krzyża). Teraz apteka zgodziła się na wydanie środków za pokwitowaniem. Sprawy załatwiliśmy szybko. Personel z kosztami (od bielizny) przejął opatrunki, lekarstwa, zastrzyki w ampułkach, trochę igieł itd. Po waty, ligninę, przylepce i bandażę przyszły nasze kobiety, które w międzyczasie zgłosiły się do pracy. Pokwitowałam ilości i wszystko to wywalczone z trudem znalazło się w szpitalu w Skolimowie.

⁴ Paulinkowie byli właścicielami najbardziej okazałej skolimowskiej kamienicy przy ul. Prusa, w której mieścił się elegancki sklep kolonialny i księgarnia. W latach 30-tych XX w. prowadzili firmę transportową "Skowar". Herman Paulinek, w latach 20. i 30. XX w., był wójtem Skolimowa.

⁵ Okrasowie mieszkali na ul. Długiej i prowadzili "Piekarńnię Nowość".

⁶ W Skolimowie na ul. Prusa aptekę prowadziła Bronisława Starzeńska. W Konstancinie apteka była prowadzona przez sukcesorów Henryka Starzeńskiego (być może przez Halinę Starzeńską, która uzyskała dyplom farmaceuty w 1937 r.) i mieściła się przy ul. Warszawskiej 9.

I zaczęło się. Z chwilą wejścia nas do szpitala z medykamentami, w budynku leżało już 5 chorych studentów oraz przywieziony pierwszy ranny żołnierz. Teraz rozlokowałam pacjentów w małym domku "Corsa" i ich zarejestrowałam w dużej książce - brulionie. Przybyły jeszcze panie z sąsiedztwa, które zgłosiły swój udział w pracach szpitala w Skolimowie. Przystąpiłyśmy natychmiast do koniecznych prac, a więc robiąc szarpie układałyśmy pracę na najbliższe godziny i w ogóle co by należało dalej czynić.

Wielkie zainteresowanie wszystkich wywoływał ranny żołnierz, który został przywieziony z Piaseczna, to jest z odległości ok. 10 km. Wieść więc o naszej inicjatywie rozeszła się po osiedlach błyskawicznie. Ranny żołnierz musiał mieć operację usunięcia odłamka pocisku. Teraz zasadniczy wyszedł brak - brak lekarzy. Szpital nie dysponował doktorem. I tu pomógł nam przypadek.

Ktoś wspomniał, że chyba jest lekarz w jednej z willi. Zapewne ukrywa się, ale można by to sprawdzić. Natychmiast wykorzystałam tę wiadomość. Poszłam do wskazanej willi, gdzie się rzeczywiście ukrywał. Po krótkim dobijaniu się lekarz ukazał się. Nasza rozmowa była bardzo krótka. Doktor stwierdził zaraz na wstępie, że jest ginekologiem, że nie posiada narzędzi i że nie wykonuje operacji prócz swej specjalności, wojna go tu zastała gdzie spędzał urlop. Byłam głucha na te wywody. Tam w naszym szpitalu żołnierz polski ranny czeka na pomoc, a tu doktor wynajduje uniki. Operacja odbyć się musi. Doktor ją wykona, bo nie ma innego lekarza. Zagroziłam, że doprowadzimy go do szpitala, jeśli sam nie będzie chciał iść ze mną. Ostatecznie doktor zebrał się prędko, wziął swą walizeczkę i przybyliśmy do szpitala.

Zaraz odbyła się operacja. Wszystko było dziełem improwizacji, bez której nie moglibyśmy nikomu nic poradzić. Tak więc salka operacyjna (wytypowana z któregoś pokoju), narzędzia (uzupełnione jakąś zbieraniną z apteczek domowych), personel pomocniczy (który nigdy w życiu nie był przy operacjach), a nawet i lekarz. Operacja dotyczyła trepanacji czaszki. Jako "dyrektor" byłam obecna przy rannym, śledząc każdy ruch operatora i pomocy. Wszyscy mieli nerwy napięte do ostateczności. Operacja skończyła się - udało się! Odłamek wyjęty leżał na tacce. Zapanowała wielka cicha radość.

Ale ... po trzech dniach nasz żołnierz zmarł. Dowiedzieliśmy się tylko w czasie jego pobytu - choroby jego imienia. Na imię miał Władysław⁷. Zapewne, gdyby był przywieziony o 1 dzień wcześniej i operowany mógł być uratowany. Leżał

⁷ Prawdopodobnie był to Władysław Ogiński (ur. 21 marca 1908 r.) plutonowy 28 Pułku Strzelców Kaniowskich, ranny z 10 na 11 września 1939 r. pod Piasecznem. Ogiński zmarł 12 października 1939 r. w szpitalu polowym w Łowiczu w wyniku odniesionych ran. Przed wojną był naczelnikiem Ochotniczej Straży Pożarnej Tarnówka. Niektóre źródła podają inne dane: ur. 15 sierpnia 1908 r. - zm. 6 listopada 1939 r. Jest mało prawdopodobne, żeby w pułku służyło dwóch Ogińskich urodzonych w tym samym roku i będących w stopniu plutonowego.

w polu pod Piasecznem całą dobę bez pomocy i to przesądziło o jego tak tragicznym losie. Pochowany został na cmentarzu w Skolimowie (cmentarz znajduje się ok 2 km od "szpitala polowego").

Z każdą godziną szpital był coraz bardziej zorganizowany, personel zaczął działać bez zbędnej "lataniny", bez pytań co, gdzie i jak.

Zahuczały w oddali motory - z łoskotem zajechali Niemcy. Zgrzyt hamulców, komendy, tupot nóg, trzaskanie drzwi samochodowych, kurz zlał się w jeden dźwięk i po chwili wtargnęli do naszego pomieszczenia.

W tym czasie miałam zgrupowane koło siebie młode dziewczyny ochotniczki, w tej liczbie było kilka Żydówek. Wszystkie miały kitle - białe fartuchy i opaski Czerwonego Krzyża. Pojawienie się tak raptowne Niemców było dla nas zaskoczeniem. Strach wзираł nam z oczu. Już wszyscy wiedzieli co się dzieje, gdy oni przyjdą.

Przybysze wtłoczyli się do pokoju, obrzucili nas spojrzeniami ale zachowali się jak ludzie cywilizowani, nawet zaszalutowali. Skinęłam na jedną młodą pomocnicę prosząc ją aby porozumiała się z nimi po niemiecku, bo wiedziałam, że zna ten język. Ja znam francuski, po niemiecku się nie uczyłam.

Nagle rozległ się wrzask: *Das ist Jude! Raus!* i paluchem pokazał drzwi.

Dziewczyna zerwała się i opuściła w pośpiechu salkę. Za moment wszystkie pozostałe Żydówki uczyniły to samo. Od tej pory już ich nigdy nie widziałam. Nie pamiętam ich nazwisk, choć ładne i szlachetne młodzieńcze ich twarze długo jawiły mi się przed oczyma, gdy ktoś, lub coś wspomniało ich jestestwo.

Z wojskiem niemieckim przybył także cywil. Ten zwrócił się do mnie w pięknej polszczyźnie z pytaniem:

- *Kto jest kierownikiem szpitala?*

Wówczas uzyskał krótką odpowiedź:

- *Ja nim jestem.*

Uśmiechnął się, bo nie spodziewał się tak młodej kierowniczką. Zaraz uroczyście oznajmił, że w imieniu armii niemieckiej zajmuje cały obiekt. Zostawił mi tylko budynek (willę) w której znajdowaliśmy się (mały domek). Następnie wskazując przybyłych oficerów powiedział :

- *To jest dr Neuman - naczelny lekarz. Doktor będzie urzędował w głównym gmachu, który będzie przeznaczonym wyłącznie dla Niemców . Z panią pozostanie dr Caiss⁸. Skinęłam głową - przyjmując to wszystko do wiadomości. Następnie pogadali między sobą i odeszli.*

Teraz dopiero po ich odejściu zaczęło się dla nas piekło. Setki samochodów ciężarowych zwoziło rannych wyrzucając ich wprost na ulicę. Pokój opatrunkowy

⁸ Prawdopodobnie błędny zapis nazwiska. Zapewne Zeiss.

był tak mały, że mogło się w nim prócz nas i doktora z niestrudżonym felczerem, pomieścić zaledwie kilka osób i to z wielkim trudem. Nie zważaliśmy na to. Zaraz zaczęły się opatrunki zwożonych rannych. Opatrzonych umieściliśmy w okolicznych pensjonatach.

Do pracy napływały nowe zgłoszenia, to nam umożliwiło prowadzenie działalności na dużą skalę. Wśród zgłoszeń znalazły się także siostry z willi "Tabita" (siostry ewangelickie)⁹. Willa Tabita znajduje się do dziś i w niej zamieszkują także siostry z tego Zgromadzenia. Siostry otrzymały pracę z niemieckimi felczerami i doktorami na oddziale dla rannych Niemców.

Wśród zwożonych rannych była w wielu przypadkach ludność cywilna z Wilanowa. Ludność wygoniono z domów i często strzelano do całkowicie bezbronnym. Podobnie Niemcy robili z mieszkańcami Czerniakowa. Jedni strzelali, inni zbierali rannych. Rannych brutalnie wrzucano do ciężarówek na stertę i taką masę kierowano do nas do Skolimowa.

Władze szpitala (już niemieckie) ustaliły, że żaden opatrunek i konieczna operacja nie może się obejść bez mej obecności. Tak zarządził doktor i "naczelnym".

Nasz początkowy lekarz ginekolog ulotnił się z chwilą pojawienia się Niemców. Nikt o niego nie pytał. Więc sprawa utonęła. Niemcy obsadzili chirurgię swoimi specjalistami i im Polacy nie byli potrzebni.

Przy wykonywaniu pomocy lekarskiej był pomocny jeszcze felczer Czech - ogromny mężczyzna. Był służbistą do tego stopnia, że go poczęto nazywać "błażnem". Znał on niemiecki i starał się być za pan brat z obsługą niemiecką - co mu się wcale nie udawało.

Ja z doktorem porozumiewałam się po francusku. Doktor do końca pobytu w naszym szpitalu nie zdradził się że zna język polski.

Po krótkim czasie praca moja zaczęła polegać na rejestrowaniu rannych, następnie byłam obecna i dawałam pomoc przy rozbieraniu rannych i ich rozłokowaniu. Ranni ogromnie byli wrażliwi włośnię na sam fakt ich umieszczania na salach, na otoczeniu w którym mieli przebywać w szpitalu, chyba, że byli nieprzytomni. Zajmowałam się także gotowaniem narzędzi i ich nadzorem. Oczywiście ucieszenie dzieci i setek płaczących nad tragedią jaka ich dotknęła, była mym ludzkim odruchem, który nigdzie nie był wypisany, a który wszyscy zatrudnieni samorzutnie często bezwiednie czynili.

Do mych obowiązków należał rozdział rannych po ich opatrzaniu i akceptacja skierowań do nowych punktów szpitala. Szpital zakładany w zasadzie dla naszego wojska zmienił oblicze. Naszych rannych żołnierzy zaczęliśmy wysyłać w myśl poleceń niemieckich do Radomia po opatrunku. Ranni cywile zostawali

⁹ Jest to Zakład Opiekuńczo-Lecznicy warszawskich ewangelików w Skolimowie, uruchomiony w 1930 r.



Kapitulacja obrońców Fortu Czerniakowskiego 26 września 1939 r. (zdjęcie: fotopolska.eu)

w Skolimowie. Pracy było tak wiele, że przez kilka dni przewinęło się przez naszą Izbę Przyjęć kilka tysięcy osób.

Jak daliśmy temu potokowi zmaltretowanych ludzi radę sama nie pojmuję. Spałam po 3, 4 godziny na dobę. Jadłam stojąc często zasypiając z kawałkiem pożywienia. Nikt nie rozbierał się do snu i ja także. Tak zachowywały się i inne dziewczyny pracujące przy rannych.

Po tym nawale było trochę luzu i nagle znowu cała masa rannych. Tym razem przywożono nam żołnierzy polskich z ochotniczych batalionów prezydenta Starzyńskiego - z fortów Czerniakowa. Bohaterskich chłopców - ochotników powoływanych przez apele niestrudzonego w obronie Warszawy jej Prezydenta.

Niemcy po zaciętej walce do upadłego, często do walki wręcz, do zwalenia z nóg - pobitych, rannych z miejsc zdobytych odsyłali do szpitala. Najbliższym Czerniakowa był Skolimów¹⁰.

Ranni milczeli, mimo bólu, głodu, pragnienia, gorączki. Byli jeszcze w szoku bitewnym, pełni jakiejś godności i zapamiętania walki, którą do końca swych możliwości wykonali. Pierwsze ich słowa były przeważnie pytaniem: Pani ! czy Warszawa się jeszcze broni? Powiedźcie nam, my z Czerniakowa.. Później syptał się grad przekleństw na Hitlera i Niemców. Wielu przestawało mówić w pół zdania z wyczerpania.

¹⁰ Fort Czerniaków zaatakowany został przez Niemców 25 września. Walka trwała do następnego dnia. Niemcy wysadzili część kazamat. Pod gruzami poległo wówczas 20 obrońców. Walczyły tu kompanie ochotnicze i części kompanii 2 batalionu 360 pułku piechoty.

Tym trzeba było dać najpierw pić i jeść. Przeważnie takimi rannym zajmowała się moja siostra Krystyna (obecnie Krempleska zamieszkała obecnie w Skolimowie¹¹). Na prośby rannych, wycygałam od doktora papierosy, wydostałam także nową porcję opatrunków, które pochodziły z Radomia, podobnie jak i papierosy. Doktor nie szanował wcale opatrunków ku mej rozpaczy i daremnych protestów. Gdy coś robił, zużywał mnóstwo tak cennych materiałów szpitalnych, że trudno było pojąć, gdzie i jak go uczyli zawodu.

Jako ciekawostkę podaję fakt, że zarówno Niemcy (doktor) jak i większość rannych nie chcieli uwierzyć, że my tu w Skolimowie pracujemy honorowo i dobrowolnie, ochotniczo bez żadnej pensji lub wynagrodzeń. To co ranni otrzymują pochodzi z darów ludzi u nich wyproszonych, bądź dostarczonych do szpitala samorzutnie. Na przykład, dom mój został wprost ogołocony przez nas (dwie siostry) na rzecz rannych, których było tak wielu w tym czasie w Skolimowie.

Tego rodzaju postawa była szczególnie dla Niemców całkowicie nie zrozumiała. Personel szpitala nawet nigdy nie wspominał o wynagrodzeniu. Pracujący tu tak ofiarnie byłiby na pewno zaskoczeni, gdyby im nagle zaczęto płacić. Praca nasza trwała przez 14 dni i nocy. Walcząca Warszawa broniła się zapamiętale, ale nadszedł dzień gdy padło złowrogie słowo - kapitulacja. Jakież to były chwile. Jak okropnie przyjęliśmy taką wieść. Tyle przelanej krwi, ran, wszelkich trudów, tyle istnień ludzkich zginęło i ... kapitulacja.

Niemcy świętowali! Ci ze szpitala w Skolimowie wiedzieli dobrze, że walki o zdobycie Warszawy ich wojska kosztowały dużą cyfrą zabitych i rannych. Kapitulacja więc kładła kres ich pokątnym stratom. Był powód do radości i święta. Zapowiedziano defiladę w zdobytej Warszawie. Defiladę przyjmować miał sam Führer¹².

Dr Caiss jechał z innymi witać Führera! W samochodzie doktor miał jedno miejsce wolne. zaproponował mi wyjazd do Warszawy. Kiedyś wspominałam mu, że dostałam wiadomość o tym, że brat mój (Wacław Wysocki) jest ranny i leży w którymś ze szpitali w Warszawie. Muszę się dostać do stolicy i go odszukać (wiadomość ta na szczęście okazała się fałszywa). Doktor mi teraz o tej myśli - zamiarze przypomniał i zaproponował wyjazd.

- *W jakim charakterze mam z panem jechać doktorze? Pan jest wspomniałym lekarzem, porządnym człowiekiem, ale jest pan Niemcem. Ja jestem Polką. Dokąd wojna się nie skończy jesteśmy wrogami! Dobrowolnie z panem nie pojedę, pojechać nie mogę.*

Doktor zaklął szpetnie i to po polsku. Dalej podniecony mówił już cały czas po naszymu.

¹¹ Krystyna Krempleska z domu Wysocka urodziła się 2 września 1920 r. Przed wojną zdała maturę. Po wojnie pracowała jako ekonomistka. Mieszkała w "Wacławówce" od połowy lat 50-tych XX w. Zmarła 28 września 2004 r.

¹² Defilada miała miejsce 5 października 1939 r.

- *Ach wy Polki jesteście ciągle takie same! Ja tu byłem w 1918 roku! Nic się od tego czasu nie zmieniło. Ciągle tylko patriotyzm i szalona zaciętość!*

Mówił zupełnie dobrze po polsku, co wywoływało dużo wrażenie, gdyż cały czas ukrywał się z tą umiejętnością. Zaraz ocenił bardzo pozytywnie moje zaangażowanie i współpracę w szpitalu. Nie mógł lub nie chciał tylko zrozumieć w imię czego harowałam tak ciężko tyle czasu bez wynagrodzenia. Wówczas przerwałam mu wypowiedź.

- Czyż pan nie rozumie, że to są moi rodacy, że ja jestem Polką i że to zrobiłam, to mój święty obowiązek! Za to pieniędzy się nie bierze!

Uśmiechnął się - pokiwał mi palcem przed nosem i rzekł:

- *Proszę pamiętać, że jest wojna. Żołnierze frontowi nie zwracają uwagi na takie słowa. Ale za nami idzie Gestapo. Pani jest odważna, ale proszę się strzec nawet języka - oni nie żartują. Dla nich dobry uczynek samarytański osoby z wyższym wykształceniem nic nie znaczy. Mogą narobić wiele poważnych przykrości, nawet do kar więzienia włącznie.*

- *Do widzenia* - rzekł jeszcze. Zasalutował, nie podał już ręki i szybko odszedł. Jak nagle przyjechali, tak nagle odjechali. W Skolimowie przestały motory zrobiła się cisza. Tryumfująca armia pognęła do zdobytej Warszawy, witać przybyłego już Führera. W Skolimowie zostali tylko ciężko ranni cywile i umierający żołnierze, ci których nie przerzucono już do Radomia. Zdałam więc sprawy szpitalne jakiemuś powstałemu komitetowi oraz mej siostrze Krystynie do chwili całkowitej likwidacji Izby Przyjęć i zaczęłam realizować wyjazd do Warszawy.

W tym czasie moja siostra Krystyna opiekowała się między innymi rodziną Nadolskich. Rodzina okładała się z 2 siostr i rodziców. Matka miała postrzał w brzuch, brak pomocy doktora (właśnie wyjechał na defiladę) doprowadził ranną do śmierci, a jej męża zakażonego tężcem również do zakończenia życia w ogromnych cierpieniach. Także synek w/w mający 11 lat przy opatunku ugryzł lekarza Niemca nie dając mu się opatryć. Mały w gorączce wołał: nie dotykaj mnie ty podły szkopie. Wówczas myśmy go z wielkim trudem opatrzyłyśmy. Rodzina została umieszczona w willi - pensjonacie p[ani] Kowalewskiej¹³. Później, obie siostry Nadolskie odwiezione zostały do warszawskich szpitali, ponieważ wdały się [jakieś] komplikacje. O dalszych losach ich nic nam nie wiadomo.

Po wyjeździe Niemców¹⁴, wynajęłam bryczkę na wsi i dojechałam nią do Warszawy, do podnóża Belwederu.

¹³ Pensjonat "Kowalewo", stanowił własność małżonków Seweryny i Stefana Kowalewskich.

¹⁴ Szpital w miarę wywożenia pacjentów stawał się stopniowo domem dziecka. Opiekę nad nim przejęły harcerki. Organizatorką zakładu i jego pierwszą kierowniczką była hm dr Ewa Grodecka. Pomagała jej mieszkanka Skolimowa Barbara Matysówna. Następnie kierownictwo zakładu przejęła Maria Wocalewska wraz z Józefiną Łapińską.

Jak wspomina Karolina Lubliner-Mianowska: *W Konstancinie były w tym czasie [jesień 1941 r.] trzy domy dziecięce prowadzone przez harcerki (formalnie były one pod opieką RGO). Jeden*



**Willa - pensjonat
"Kowalewo"
(na pocztówce
błędnie p. Kowalskiej)**

Tu byłam świadkiem pierwszej "zabawy - egzekucji" rozbestwionych Niemców. Tak więc doktryna " naukowa" o niższych rasach i o konieczności ich tępienia, świeciła swoje zwycięstwo na nowo zdobytych terenach dla Wielkiej Rzeszy. Oto spędzono Żydów z pobliskich domów (starych) następnie Polaków.

Niemcy w moich oczach dali Polakom karabiny i kazali zastrzelić kilkunastu starych Żydów. Niemcy byli ubrani w normalne mundury Wehrmachtu.

Zaparto mi dech! Żydzi przerażeni nie usiłowali nawet płakać, czy modlić się, bądź błagać o litość. Polacy stali jakiś czas nie mogąc zrozumieć dlaczego mają zabijać starców, cóż z tego, że oni są Żydami. Jeden z naszych rzucił karabin, a za nim wszyscy inni. Powiedzieli, że ludzi oni nie zabijają. Niemcy krzyżąc i śmiechem podobnym do ryku, kazali Żydom zbierać broń. Przerażeni starcy żydowscy zebrali karabiny, chcąc oddać je żołnierzom niemieckim. Niemcy jednak pokazując Polaków kazali strzelać do Polaków. Żydom. Żydom obiecali wolność. Niemcami dowodził oficer, który mówił - krzyczał po niemiecku, ale był i jakiś żołnierz, który tłumaczył po polsku, z fatalną polszczyzną. Nie mogłam w to uwierzyć, to co sama słyszałam. A jednak ... Huknął pierwszy strzał - zrobiło mi się słabo - zemdlałem.

Gdy się ocknęłam - leżałam w krzakach pod samym murem. Ktoś musiał mnie tam odciągnąć. Było pusto i cicho. Nie odwracając się za siebie, w stronę straszliwego widowiska, które tylko można porównać z "cyrkiem cesarza Nerona" z przed 1800 lat, zerwałam się jak oszalała i pognałam w górę alei Ujazdowskich. Omijając barykadę, na miejscach chodnika szkło skrzypiało mi pod nogami. Przeskakiwałam przez jakieś zapory, części zapór, części uzbrojenia itd. Na wysokości

w willi „Corso”, gdzie kierowniczką była Maria Wocalewska a gospodynią Aniela Libionka, która dawniej pracowała na Buczu [...]. Okupacyjny adres domu: Dom Dzieci Sierot Wojennych "CORSO" w Skolimowie koło Warszawy.

ul. Pięknej leżały dwa zabite konie. Nad nimi stali ludzie z nożami i kłócili się, który wykroi sobie lepszy kawał padliny. Byli głodni - chcieli jeść. Dobrzełam do ul. Wspólnej do swego mieszkania. Jakie szczęście. Ocalało!

Po kilku dniach przybył brat [Wacław] z obozu żyrdowskiego w którym byli przeważnie obrońcy stolicy. Następnie wrócił mój mąż. Zaczęła się okupacja. Na ul. Wspólnej przemieszczałam do połowy Powstania, do czasu, gdy brakło piachu i sił na zasypywanie bomb zapalających. W Powstaniu brałam udział o tyle o ile mi na to pozwalały obowiązki matki (miałam małą córkę). Włączyłam się więc do budowy barykady, dyżurów, pomocy w gotowaniu ze wspólnych zapasów żywnościowych. Po upadku elektrowni przy Wybrzeżu Kościuszkowskim przybyły 2 obsady ckm-ów od "Krybara", które gościłam w swym jeszcze nie spalonym mieszkaniu na prośbę mego brata d[owód]cy ciężkiej broni baonu "Iwo". Gdy zakończyło się Powstanie, wyszłam z ruin i odbyłam wędrówkę przez obóz w Ożarowie do Piotrkowa. Do swego miejsca urodzenia i zamieszkania już więcej nigdy nie wróciłam.

Taki mi los zgotowała II wojna światowa, jak i mi podobnym milionom Polek i Polaków.



Wanda Jadwiga Wysocka, urodziła się 18 sierpnia 1908 r. Jej rodzicami byli Wacław Marian (1864) i Waleria Józefa z domu Kociołkiewicz (1881). Ukończyła przed wojną studia w Instytucie Historycznym Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Wyszła za mąż za Tadeusza Zemło i przeniósła się z "Wacławówki" do Warszawy. Pracowała w szkole. Po wojnie mieszkała w Wawrze. Miała trójkę rodzeństwa: Halinę (1912)¹⁵, Wacława (1916), Krystynę (1920). Wspomnienia "Szpital polowy w Skolimowie w 1939 r." napisała w 1983 r. na prośbę brata – Wacława, członka komisji historycznej środowiska 30 Pułku Strzelców Kaniowskich. Zmarła 29 marca 1985 r. i została pochowana na warszawskim Cmentarzu Stare Powązki.

¹⁵ Halina Klara Pomianowska z domu Wysocka urodziła się 25 listopada 1912 r. Skończyła przed wojną Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie. Pracowała jako malarka, specjalizowała się w malarstwie na porcelanie. Od końca wojny do początku lat 60-tych XX w. mieszkała w "Wacławówce", później wyjechała z mężem i synem do USA, następnie do Australii, gdzie zmarła 29 stycznia 1988 r.

Dopisek do wspomnień Wandy Wysockiej jej brata Wacława Stanisława Wysockiego¹⁶

Skolimów znajduje się ok. 20 km od Warszawy (dojazd przez Czerniaków, Wilanów, Konstancin). W 1939 r. Skolimów, podobnie jak Konstancin i cały szereg miejscowości był letniskiem. Powstał z parcelacji lasów około 1820 roku, obok wsi o tej samej nazwie. W 1939 r. w Skolimowie znajdowały się budynki murowane i duża ilość drewnianych zwanych "willami". W budynkach większych okazalszych mieściły się pensjonaty oraz mieszkania dla t.z. "letników". Z chwilą wybuchu wojny wille opustoszały, zostały zamknięte. Ogromna większość ludzi wyjechała. Zostali tylko dozorczy i robotnicze rodziny, mieszkające na stałe, a zatrudnione w pobliskiej fabryce papieru w Mirkowie, bądź w cegielni Chylice. Pozostała również mała ilość właścicieli nieruchomości. Rodzina moja (Wysockich) pozostała. Ja jako podchorąży byłem z 30 Pułkiem Strzelców Kaniowskich na linii pod Sieradzem.

Dopowiedzenie: wspomina Wit Gawrak¹⁷

[...] W przyfrontowym szpitaliku w Skolimowie, obsługiwanym przez polski personel, lecz nadzorowanym już przez Niemców, dotarły do nas ostatnie wieści. W kilka dni po krwawym odwrocie z Sadyby Oficerskiej stolica skapitulowała. [...] Szpital przyfrontowy - zatłoczony ponad miarę przedsiónek śmierci - krzyki konających w agonii, woskowo blade twarze sióstr zakonnych, zasuwających bezszelestnie białe parawany wokół umierających, słodkawy zapach jodoformu, mieszany z odorem ropiejących ran, to znają wszystkie szpitale wojenne. Osobliwością naszego szpitala był drastyczny brak medykamentów, krwi do transfuzji, kroplówek, elementarnych środków w walce ze śmiercią. [...] Nie było wprawdzie zbawczej

transfuzji, nie brakło natomiast religijnej terapii. [...] siostra szpitalna niosąc pleciony talerz, pełen świeżych jabłek zerwanych w sadzie otaczającym szpitalne domki [...] zjawiała się niebawem w asyście trzech naszych lekarzy [...]

Kontakty między rannymi w szpitalu i światem zewnętrznym zapewniała osobistość znana ówczesnej Warszawie, żona byłego premiera, doktor Świtalska. [...] wojna zastała ją w Skolimowie i teraz kiedy sytuacja zaczynała powoli się klarować się, nawiązywała kontakty z Warszawą i przemyślała z niej aktualne wiadomości. [...] Wehrmacht nie omieszkiał zaanonsować wkrótce swego zwierzchnictwa nad szpitalem, wprowadzając bezpośredni dozór podoficerów nad każdą z sal. [...] Wieczorem pojawił się w naszej sali ogorzały, leciwy kapral Wehrmachtu, jeden z tych, którzy mieli nadzorować rannych jeńców [...] Pochodził, jak się okazało, z Bawarii [...] Lecz jeśli nam dopisał szczęśliwy traf, na innych salach szpitalnych dyżurni Wehrmachtowcy mrozili nastrój typowym pruskim drylem. [...] Wehrmacht komasował tymczasem rozrzucone po całym terenie wojennym obiekty w wielkie i jak się okazało śmiertelne kombinaty szpitalne. Mieliliśmy zostać wcieleni do



jednego z nich, w każdym razie taką informację przemyślała nam doktor Świtalska. [...] Ewakuację zarządzono niespodziewanie któregoś dnia pod wieczór. Niespodziewanie, jeśli idzie o porę transportu rannych, albowiem miano ich ewakuować nocą. Szosy i drogi były zarezerwowane wyłącznie dla wojsk niemieckich, wieziono więc nas niewiarogodnymi wertepami. Sanitarki przypominały kutry miotane sztormem. Odległość ze Skolimowa do Łowicza - około 100 kilometrów - pokonywano prawie całą noc. [...]

[Wit Gawrak, W batalionie robotniczym. Wspomnienia, Warszawa 1971, s.97-109]

¹⁶ Wacław Stanisław Wysocki "Wąsaty" urodził się 19 stycznia 1916 r. Zdał maturę w Krakowie u braci pijarów i skończył łódzką podchorążówkę. Wojna zastała go na II roku prawa na Uniwersytecie Warszawskim. We wrześniu 1939 r. walczył w szeregach 30 Pułku Strzelców Kaniowskich (pod Sieradzem, w Warszawie). W okresie okupacji służył w Państwowym Korpusie Bezpieczeństwa, formacji policyjnej Delegatury Rządu na Kraj. W czasie powstania walczył na Śródmieściu Południowym w oddziale odwodowym AK - batalionie "Iwo". Po powstaniu przebywał w niewoli niemieckiej. Po wojnie pracował w Warce przy produkcji win, później jako kierownik zmiany w restauracji "U Fukiera" na Starym Mieście. Od lat 60-tych XX w. mieszkał na Saskiej Kępie. Opublikował: Na szlaku walk Kaniowszczyków. Z dziejów 30 Pułku Piechoty Strzelców Kaniowskich, Warszawa 2006. Zmarł 15 sierpnia 2010 r.

¹⁷ Wit Gawrak urodził się 20 maja 1916 r. Ukończył Uniwersytet Jagielloński. Był członkiem Związku Polskiej Młodzieży Demokratycznej - Lewicy. Od wiosny 1939 r. pracował w Spółdzielni "Grupa Techniczna" w Warszawie. We wrześniu 1939 r. brał udział w obronie Warszawy w szeregach Batalionu Ochotniczego im. Ordoña (V batalion 360 pp). Walczył na Sadybie. Ranny dostał się do niewoli. Przebywał w licznych szpitalach (m.in. Skolimów, Łowicz, Łodzi, Szpital Ujazdowski). Walczył w powstaniu warszawskim. Zmarł 12 października 1985 r.

ZNAD JEZIORKI

MINIATURY HISTORYCZNE

TWORZONE SĄ NA BAZIE BLOGA
MINIATURYHISTORYCZNE.BLOGSPOT.COM

- Miniatury historyczne poświęcone są terenom leżącym nad rzeką Jeziorką i w jej okolicy. O ludziach i wydarzeniach. Sprawy błahe i poważne. Odległe i niedawne. Smutne i wesołe. Ot takie jakie było tutaj życie.
- Uzupełnieniem do miniatur historycznych jest „Biblioteczka skolimowska”, w której ukazują się publikacje dotyczące ważnych wydarzeń związanych z terenami na południe od Warszawy.

HISTORIE OPOWIEDZIANE

HISTORIE WYSŁUCHANE

- W ramach miniatur ukazuje się pod tym podtytułem seria wspomnień dotyczących terenów leżących nad Jeziorką.